

Nazywam się Alina Wójcik , urodzona 26 maja 1928 roku w Białymstoku. Tata był policjantem , mama nie pracowała , ja uczyłam się w szkole podstawowej , byłam w trzeciej klasie , zdałam do czwartej ale nie uczyłam się , bo nie zdążyłam.

W 1939 roku jak wybuchła wojna tatusia zmobilizowano. Jak poszedł to już nie wrócił. Słyszeliśmy od cioci , że znajomi kolejarze spotkali tatusia na dworcu w Wilnie w 1940 roku (wujek był kolejnikiem) i widzieli jak jakiś Żyd wskazał na tatusia enkawudziście. Tam go aresztowano , do tej pory nie wiemy gdzie zginął , nie ma go w ~~nie~~ spisach.

i  
Mieszkaliśmy na ulcy Marczukowskiej, mama po aresztowaniu taty nie pracowała , pomagała nam babcia. W 1939 roku wkroczyli Niemcy , widzieliśmy jak jechali na motorach. Wpadli do domu , robili rewizję , nic nie znaleźli a w szafie była szabla ojca.

Jak wkroczyli Sowieci , to w 1940 roku 13 kwietnia , między trzecią a czwartą rano usłyszeliśmy łomot do drzwi , wpadli Sowieci. Dali nam piętnaście minut na zabranie ~~rzeczy~~ rzeczy , pod domem stał samochód ciężarowy. Mama ze strachu dostała rozstroju żołądka , szoku i prawie nic nie wzięła . Wsadzili nas na ciężarówkę , nasze tłumoczeki i zawieźli nas na dworzec. Na dworcu stał dosłownie kilometrowy pociąg. Dużo wagonów załadowano ludźmi , załadowali nas do wagonu , zamknęli drzwi. Wieźli nas około sześciu tygodni.

Cały wagon był ciasno załadowany , ludzie jeden przy drugim. Pociąg zatrzymywał się po to żeby ludzie mogli wyjść za potrzebą NKW. Dziści chodzili i pilnowali żeby nikt nie uciekł. Czasami przynosili nam wiadrami pochłopkę , zupę i wodę.

Przywieźli nas do Kazachstanu , tam już dalej pociąg nie szedł , kończyły się tory. Stamtąd samochodami rozwożono nas po kołchozach. Nas też zawieziono do kołchozu, były tam lepianki z piasku i krowiego gnoju. Do lepianki dostało się dużo rodzin . Z nami były cztery znajome rodziny.

W baraku było kilkanaście rodzin , nie dali nam ani jeść , ani ani pić.Kto co miał musiał ostatnie swoje ubrania Kirgizom sprzedać lub na jedzenie wymienić. Dopiero po pewnym czasie można było pracować. Aby zarobić na porcję chleba musiałam wypasać stada baranów , razem z Kirgizką.Mamusia robiła to samo , pracowała też przy sprzętaniu obór , przy sianokosach. Dzieci musiały tam pracować od dziewięciu czy dziesięciu lat. Ja wypasałam barany , musiałam też układać bryły torfu , które były bardzo ciężkie. Pracowało się dzień w dzień od rana do wieczora. żeby zdobyć dodatkowe pożywienie chodziło się po polach i zbierało pozostawione kłosa prosa , rozcierało na kamieniach , żeby sobie kaszy ugotować. Wszyscy wymieniali zabrane ze sobą rzeczy na żywność , my nie mieliśmy prawie nic. Ciocia z Białegostoku dwa razy przysłała nam dużą paczkę , była tam mąka , cukier , kasza. To wystarczyło nam na jakiś czas.

Latem były 40stopniowe upały , zimą takie same mrozy, lato było bardzo krótkie. W naszym baraku mieszkała pani Nieczajowa z dwoma córkami , jedna miała szesnaście lat , druga osiemnaście. Dostały one zawiadomienie na paczkę , poczta była osiemnaście kilometrów od kołchozu. Szesnastoletnia córka poszła po tą paczkę , zrobiło się ciemno a ona nie wróciła. Matka jej była strasznie zdenerwowana , wzięła ludzi , pochodnie i poszli szukać. Znaleźli ją , spaloną przez słońce na węgiel. Pojechały po nią podwozy zaprzężone w woły.

Ludzie umierali tam bardzo często , szczególnie na tyfus. Moja mama zachorowała na tyfus brzuszny i organizm był tak wyczerpany, że umarła. Jadło się nawet szczaw zbierany na stepie. Leczenie - był szpitalik gdzie mama była , wypisano ją już ze szpitala jako zdrową i wtedy zmarła. Było to już w sowchozie.

Po pobycie w kołchozie przenieśliśmy się do sowchozu. Była tam znajoma rodzina państwo Popławscy z Białegostoku . ~~mama się~~

To byli mego wujka żony rodzice.

Mama była bardzo wychudzona , włosy miała zgolone. Mamusia spała z siostrą na jednej pryczy, ja na drugiej. To był taki sam barak jak w kołchozie. Mama przebudziła się prosiła o wodę , kiedy wstałam żeby ją podać mama kilka razy westchnęła i umarła. Pochowaliśmy mamę w sowchozie , postawiliśmy krzyżyk z drzewa , na drugi dzień wszystko było zrównane z ziemią. To był nieogrodzony cmentarz. Mama zmarła w 1944 roku w lipcu chyba.

Po śmierci mamy pojechaliśmy do Pawłodaru , jechali tam jacyś ludzie podwodą , wołami i nas zabrali. W Pawłodarze był Związek Patriotów Polskich , zgłosiliśmy się tam i oni nas rozlokowali w kirgiskich rodzinach. Mnie załatwili pracę w biurze jako goniec. Dostałam sznurowane czarne kamasze , następnego dnia ukradziono mi je. Znowu musiałam chodzić w rozwalających się butach. Płacili mi tam ale tak mało , że ledwie starczało na chleb.

Siostra w tym czasie dostała pracę w spółdzielni przy robieniu swetrów . Jak wozili chleb w skrzyniach chleb to zbierałam resztki okruszków i jadłyśmy to z siostrą. Po śmierci mamy nie było kontaktu z ciocią , urwał się . Pisałyśmy tylko jak mieszkaliśmy w kołchozie. W ZPP można było zejść jak ktoś był głodny i dostać zupę.

W kołchozie i sowchozie nie było opału , z obór przynosiło się siano , latem zbierało się kiziaki , ale tego było mało bo mało było krów. Wtedy też wypasałam owce , były to bardzo duże stada po dwa i trzy tysiące , z jednej strony byłam ja z drugiej Kirgizka. Któregoś razu zasnęłam , obudziłam się jak Kir-gizka krzyczała , okazało się , że wilk porwał owcę , powąchał mnie ale byłam za słabym kąskiem.

Kiedyś oderwali mnie na od pasienia baranów do sianokosów. Było to kilkanaście kilometrów od sowchozu , byłam tam sama z Kirgizami , mama i siostra zostały w kołchozie. Pracowało się aż do

ukończenia sianokosów za talerz zupy i pajdkę chleba. Poprosiłam wtedy żeby mi pozwolili mi iść do mamy i siostry. Poszłam do nich stepem, ale były tam dzikie konie, jeden z nich zaczął galopować, uciekałam więc na olbrzymią kopę siana, bo bałam się koni. Dopiero jak koń uciekł poszłam do sowchozu.

Kto pracował dostał walonki filcowe i drelichowy żakiet i spódnice i w tym wróciliśmy do domu.

Wszystkie miejsca były takie same ale Pawłodar to było miasto. Pracując jako goniec dostawałam miskę kaszy i kawałek chleba. W przedsiębiorstwie była kierowniczką, która dawała mi ołówki żebym sprzedała. Pewnie były one kradzione, ale po sprzedaniu miałam dla siebie parę groszy. Kiedy ukradziono mi buty które dostałam poszłam na milicję, oni tylko wzruszali ramionami, nie wiedzieli kto mi ukradł.

Kiedy tylko przyjechaliśmy jeszcze nie obdarci, to Kirgizki przychodziły, dotykały naszego ubrania. One chodziły w takich welonach jak u nas zakonnice, welony były jakby z prześcieradła.

W 1945 roku zaczęto mówić, że już będziemy mogli wracać do Polski. Okazało się, że mogli wracać ci co mają paszporty. My nie miałyśmy paszportu, w ZPP uradzoni, że wpiszą nas do paszportu innej rodziny. Nie wiem co to była za rodzina, nie znam ich nazwiska. Przed wyjazdem nic nie dostałyśmy na drogę, w czasie podróży dostawaliśmy zupę i chleb. Podróż powrotna też trwała około sześciu tygodni. Przyjechaliśmy 16 marca 1946 roku. Nasz pociąg pojechał do Warszawy, z Warszawy szukałyśmy pociągu na Białystok. Przyjechałyśmy do cioci, mieszkała w tym samym domu.

Jak nas ciocia zobaczyła w tych ubraniach, porwanych, kazała nam się wykąpać, ubrania zaraz spaliła. Dała nam swoje ubrania. Wtedy poszłyśmy do szkoły, ja do wieczorowej podstawówki. Ciocia nam utrzymywała, skończyłam podstawówkę. Cioci było ciężko nas dwie utrzymać.

Wujek był na emeryturze , ciocia nie pracowała. Po podstawówce wysłano mnie do Ulsztyna do wujka( rodzzonego brata mamy) wujenka załatwiła mi pracę. Ponieważ chciałam się uczyć , poszłam do wieczorowego ogólniaka , pracowałam i uczyłam się.

Podczas powrotnej podróży już nas tak nie pilnowali . W Brześciu zatrzymaliśmy się na dłuższy postój i wszyscy skierowali do kościoła pomodlić się. Potem pojechaliśmy dalej.

Po powrocie do Polski w naszym mieszkaniu przy ulicy Marczukowskiej byli zakwaterowani inni ludzie. Wszystko nam przepadło , meble i inne rzeczy.

Wywiad przeprowadzono: 5. 05. 1992.

*Redisairto Cooma*